



Kryminał z myszką

69

Poko- lenie dłuż- ników

Anna

Kłodzińska

Anna Kłodzińska

POKOLENIE DŁUŻNIKÓW

Kryminał z myszką – Tom 69

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-78-2

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1973

Rozdział 1

Krystyna wracała do domu nie śpiesząc się. Wieczór był pogodny, ciągnęło ją gdzieś do parku czy w las, w czerwcu miasto stawało się trudne, odpychało od siebie.

Na wyboistym bruku Grójeckiej ciężko stapał ogromny perszeron. Miał kopyta jak talerze i ciemne, połyskliwe oczy, na wpół przesłonięte skudłaną grzywą. Przyjrzała mu się z sympatią, chciała pogłaskać wilgotne chrapy, ale koń minął ją obojętnie, ciągnąc wóz pełen beczek z piwem.

W Rogowiskach nie było perszeronów, podobno nie nadawały się do pług – mówił rządcą, pan Chróśniak, czemu nie chciała wierzyć. W cugowej stajni też stały same lekkie, cienkonogie gniade i kasztany, z wyjątkiem wielkiego karogniadego „Kaczmarka”, zwanego tak od poprzedniego właściciela. „Kaczmarek” dwa razy rozbił bryczkę i nie dał się dosiąść nawet Sylwestrowi, który służył w wojsku i chwalił się, że ujeździ każdego konia, ale z „Kaczmarkiem” nie wygrał.

Westchnęła cicho, zdjęła kapelusz, wsunęła rękawiczki do kieszeni. Miasto wymagało rękawiczek i kapelusza, chociaż na Grójeckiej można już było sobie pozwolić na lekceważenie tych wymogów. Ulica była brzydka, niemal peryferyjna, stąd było jednak blisko do Szkoły Nauk Politycznych. Wykłady odbywały się po południu i trwały do późnego wieczora, krewni domagali się od Krystyny, aby nie chodziła sama po Warszawie nocami, co oznaczało u nich czas po dziewiątej wieczór. Szczęściem, znakomita większość krewnych mieszkała daleko od stolicy.

Weszła do bramy, skrzywiła nos, dom był stary i w bramie zawsze trochę śmierdziało. Schody świeciły jednak czystością, właściciel kamienicy ganiał stróża. Zadzwoiła dwa razy, zaraz potem jeszcze raz, tak było umówione, inaczej Antosia, służąca państwa Rollerów, długo, podejrzliwie przyglądała się przez „judasza”, zanim otworzyła. Krystyna nie znosiła tego oka, mrugającego w dziurce, wyglądało jakby żyło własnym życiem, bez udziału człowieka.

Rollerowie mieli klucze, ale sublokatorce dać nie chcieli.

– Pannie Stogniewskiej klucze nie są potrzebne – powiedziała raz pani domu. – Zawsze przecież może zadzwonić.

Oczywiście, że mogła, Rollerowej jednak chodziło o to, aby Krystyna nie wracała późno do domu. Zresztą, nie była przykra we współżyciu, usuwała się raczej w cień swego męża, on przeprowadzał wynajem pokoju, omawiał cenę, godziny korzystania z łazienki i telefonu. On też bohatercko odpierał ataki, kiedy Krystyna skarżyła się na pluskwy.

– To od sąsiadów z góry – mówił, pokazując na parapet okienny. – Przychodzą po murze. U nas nie ma.

Cóż, kiedy były. Walczyła z nimi jak umiała, to znaczy nie bardzo. Pierwszą pluskwę zobaczyła w Warszawie. Na wsi gryzły komary i co najwyżej pchły od Ajaksa, bo Perełka miała tak krótką i twardą sierść, że z niej wypadały. Kiedyś Krystyna, obrażona na cały świat, przespała w psiej budzie pół nocy, zanim ją tam znaleźiono. Przerażony ojciec – w ogrodzie były dwa głębokie stawy, trzeci w podwórzu – nie mógł się już nawet gniewać, szczęśliwy, że dziecko jest całe i zdrowe, choć potężnie zapchlone.

Antosia otworzyła drzwi, uśmiechnięta szeroko.

– Panna Krysia ma gościa – oznajmiła.

Już wiedziała, że to ciotka Teresa. Tylko ona wywoływała u Antosi taką falę radości, skonkretyzowanej w dziesięciozłotówce na pożegnanie. Ciotka była hojna, duże napiwki dla służby dawały jej pewną satysfakcję, lubiła dokoła siebie wesołe twarze i niskie ukłony. Pieniądze przeciekały jej przez palce, jak piasek na plaży, co nie przeszkadzało, że każda przegrana w karty była prawdziwym zmartwieniem. Krystyna podejrzewała, że ciotka ceni naprawdę tylko to, co wygra w pokera.

Siedziała teraz na tapczanie, ubrana jak zwykle trochę niedbale i bardzo drogo, obwieszona biżuterią, która dźwięczała i połyskiwała przy każdym ruchu dużych, nieco kościstych rąk. W ogóle była duża, chodziła kołysząc się z biodra na biodro, rysy twarzy miała nieregularne i tylko oczy były naprawdę piękne, pełne wesołych ogników. Może dla tych oczu, a może dla pogodnego i życzliwego usposobienia kochało się w niej wielu. Wacław Wilczyński starał się o pannę Teresę siedem lat, zanim wreszcie znudzona powiedziała mu: dobrze.

Krystyna przywitała się z ciotką, podsunęła jej popielniczkę, sama usiadła na krzeselku przy stole. Po pierwszych, zwyczajowych uprzejmościach i pytaniach o zdrowie pani Teresa powiedziała:

– Przyjedź na lato do Pawłowa. Musisz odpocząć po studiach.

Dziewczyna zawahała się. Miała w programie wyjazd na obóz Ligi Morskiej i Kolonialnej, od miesiąca śniło jej się morze, namioty pod sosnowym lasem na Helu, wieczorne ogniska i wspólne, przez paręset ust śpiewane: *Idzie noc, słońce już...* Ale w Pawłowie też było wspaniale, wieś leżała w sąsiedztwie Rogowisk i na pewno będą się wszyscy zjeżdżać nad jezioro, z podwieczorkiem w koszykach.

– Dobrze, ciociu – odparła. – Chętnie przyjadę w sierpniu, bo lipiec mam zarezerwowany na obóz.

– Więc przyjedź – ciotka powiedziała to z roztargnieniem, myślała już o czymś innym. Uśmiechnęła się porozumiewawczo:

– Powiedz, kochasz się tu w kimś? Albo ktoś w tobie?

Krystyna zmieszała się, zaczerwieniła.

– Nie, skądże! – zaprzeczyła żywo. I aby uniknąć dalszych dociekań, spytała: – A co w Rogowiskach?

Pani Teresa wzruszyła ramionami.

– Myślę, że wszystko dobrze. Pan Marciński gospodaruje jak umie. Dzierżawca z niego nietęgi, ale twój ojciec zostawił majątek w doskonałym stanie. A dostajesz co miesiąc tenutę?

– Tak, pan Marciński przysyła regularnie. Zbyszkowi chyba też, nie wiem, dawno nie miałam od niego listu. Pewnie kuje do egzaminów, przechodzi przecież na czwarty rok.

– Jeżeli przejdzie. Byłam niedawno przez tydzień w Poznaniu, słyszałam, że ciągle grywa.

– Gdzie?

– W klubie swojej korporacji, tam się najczęściej schodzą na brydża. Wiesz, w „Primislavii”.

– Zbyszek należy do „Corony” – zaprzeczyła.

– To może w „Coronie”. Ale nie martw się. Kiedyś wreszcie skończy to rolnictwo i obejmie Rogowiska. Wtedy spłaci ciebie i Stasia. Wuj mówił niedawno, że jeżeli wszystko tak się utrzyma, jak obecnie, to oboje ze Stachem dostaniecie po pięćdziesiąt tysięcy. Kiedy to wypada koniec dzierżawy?

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym. Latem.

– No, to za rok. A propos, gdzie jest teraz Stasio?

– Nie wiem, on do mnie nie pisuje. Chyba siedzi w Zakopanem.

– Mógłby ten chłopak coś robić – powiedziała ciotka bez przekonania.

– Chodzi po górach – roześmiała się Krystyna. – Zrobił się z niego świetny taternik.

– Wy macie dzierżawę obliczoną w życie, a żyto teraz dobrze stoi na giełdzie – pani Teresa pokiwała głową. – Stasio dostaje miesięcznie prawie czterysta złotych, to mu wystarcza na Zakopane. – Rozejrzała się po pokoju, uśmiechnęła pobłażliwie. – Mały masz pokoik. I mebelki postarzały się, pokrzywiły...

– Ale blisko stąd do szkoły. Wie ciocia, zdałam już prawie wszystkie egzaminy na drugi rok. Został mi tylko profesor Mościcki i profesor Srokowski. Jeszcze tydzień i koniec.

- Po co ci te nauki polityczne? I tak wyjdiesz za mąż.
- Ciociu, przecież ja chcę coś robić! Czymś być! – zawołała.

W tym czasie zresztą nie bardzo jeszcze wiedziała, co chce robić i czym być. W ósmej klasie, na kilka miesięcy przed maturą, urządzono w klasztorze konkurs na wiersz, nowelę lub opowiadanie. To była inicjatywa polonistki, matki Kieszkowskiej, z którą po cichu czytały z zapartym oddechem „Biblię cygańską” i „Siódmą jesień”. Po cichu, bo zakonnica miała liczne opory i wciąż wpadała w konflikt z własnym sumieniem. Była wrażliwa, inteligentna. Tuwim od pierwszej chwili zauroczył ją, a jednocześnie przerażał brutalną, tak bardzo świecką szczerością swoich wierszy.

Krystyna o te wiersze na serio pokłóciła się kiedyś z księdzem prefektem. Pewnego dnia na lekcji religii wyciągnęła z szuflady *Wiersze zebrane* i poprosiła księdza, aby przeczytał choć jeden, ale na głos. Była to jawna prowokacja, a przy tym pewne ryzyko. Klasa zamarła w oczekiwaniu sensacji. Nie było ich dużo, do matury doszło tylko siedem dziewcząt. W Sacré Coeur nigdy zresztą nie przyjmowano zbyt wiele uczennic, cały internat liczył trochę ponad sto, od pierwszej gimnazjalnej do ósmej.

Ksiądz uśmiechając się przyjął wyzwanie. Otworzył książkę na chybił-trafił, były to *Dwa wiatry*. Zaczął czytać. Najpierw drwiąco, z prześmiechem, potem bezwiednie stonował głos, czytał jak poezję:

*...sfrunął śniegiem z wiśni kwiat,
parsknął śmiechem cały sad...*

Nie dało rady. Ksiądz był muzykalny, ładnie grał na fortepianie, wiersz o wiatrach nie pozwolił się wydrwić i prefekt zakończył go jak najlepszy lektor. Triumf Krystyny był krótki. Ksiądz zrewanżował się przy maturze, ona jedna z siedmiu musiała zdawać z religii. Zresztą wtedy pogodzili się, bo prefekta ruszyło sumienie i bardzo chytrze podpowiadał podczas egzaminu.

Ale właśnie przed maturą był ten konkurs, na który sama napisała wiersz. Długi, wielozgłoskowy i, mówiąc szczerze, okropny. Zaczynał się tak:

*Sędzia w stół zabębnił palcami,
Spojrzał w okno, kołnierzyk poprawił
i powiedział: – Następny!*

Rzecz była o nieletnim przestępcy, który ukradł coś z głodu, pomysł ściągnięty od Konopnickiej, ale nikt się nie poznał. Śliczna czarnooka Wanda Babińska, córka konsula z Hagi, odczytała go drżącym głosem, któraś z zakonnice ocierała nawet łzy. Zwycięstwo było niezaprzeczalne, Krystyna dostała pierwszą nagrodę – symboliczny wianuszek laurowy. Wtedy postanowiła, że będzie poetką. Potem jej to przeszło.

„Dziwne dziecko” – mówiono o niej czasami. Wychowana w atmosferze poznańskiego ziemiaństwa i w klasztornych murach Sacré Coeur, otaczana od maleńkości staranną, niemal surową opieką bony, która nie żałowała klapsów i stawiania w kącie, bardzo wcześnie zaczęła się buntować przeciw panującym w tym świecie obyczajom i tradycjom.

Bunt. Tak, to było pierwsze, co pamięta z dzieciństwa. Kiedyś – pięcioletnią wówczas dziewczynką – ubrano w jedwabną różową sukienkę i przyprowadzono do gości, zebranych w salonie. Zaśpiewała obowiązkową piosenkę, pewnie to było o zimie, co „nie straszy nas, bo od czegoż jest komin, od czegoż las”. Potem, usadowiona na kolanach jednej z pań, zadarła głowę do góry i przyjrawszy się dokładnie pochylonej nad nią twarzy, powiedziała na cały głos:

- Jej, ale pani ma wielkie zęby!

Pani poczerwieniała, Krysię czym prędzej odesłano do dzieciennego pokoju, gdzie dostała parę solidnych klapsów. Odtąd nie znosiła gości, jedwabnych sukni i białych bucików. Przez cały dzień ganiała po podwórzu, ubrana jak chłopak, w sandałach na bosych nogach, zawsze pełnych sińców i zadrapań. Umiała dobrze wspinać się po drzewach, chociaż nie tak dobrze jak Zbyszek. Kochała stajnię, zapach końskiego potu, stukot kopyt i ciche rżenie, kiedy czując chleb czy cukier, odwracały głowy w jej stronę. Fornale nauczyli ją zaprzęgać konie do pług, czyścić zgrzeblem zakurzoną sierść i grzywę, wystukując szary pył o drewniany próg stajni.

Żałowali jej czasem po swojemu.

– Że też to dziecko takie zmyślne do koni – mówili między sobą. – Szkoda, że dziewczucha.

W podwórzu prócz obu stajni – cugowej i fornalskiej – obory, chlewu i okólnika dla źrebiąt, był też warsztat stelmacha i kuźnia. Przyglądała się z napięciem, jak kują konie, wciągała nosem zapach przypalonych kopyt i ciągle, do znudzenia pytała, czy to konie boli. U stelmacha nauczyła się heblować, piłować, wycinać równo deszczułki i pociągać farbą. W ogóle w podwórzu było sto razy ciekawiej i przyjemniej niż w salonie.

W Rogowiskach, o kilometr za zabudowaniami gospodarskimi, było duże, głębokie jezioro z wyspą na środku. Na tej wyspie i na łódce, prześlizgującej się z szelestem między trzcinami i wodorostami, przesiadywała często do późnego wieczora. W trzcinach kryły się dzikie kaczkicy-cyranki, nad łąkami ze świstem przelatywały czajki, krzykiem odciągając człowieka od swoich gniazd. Wieczorami gdzieś po drugiej stronie jeziora huczał bąk, którego nigdy nie udało jej się zobaczyć i znała go tylko z książek.

Woda w jeziorze była przez całe lato ciepła, miękka i jakby senna, a kiedy szło się ostrożnie po piaszczystym dnie, widać było muszle, na wpół zaryte w mule i maleńkie, błyskawicznie poruszające się rybki-cierniki, które kłuły, złapane w rękę. Niedaleko od brzegu, po lewej stronie, obok trzcin, straszły „końskie doły”. Nie wiedziała, kto je tak nazwał, domownicy zawsze jednak ostrzegali gości, aby tam nie chodzili, doły były bardzo głębokie i „wciągały”.

Z tych czasów pozostały jej w pamięci przelotne obrazy, na pozór nic nie znaczące, ot, mikroskopijne fragmenty życia. Zwłaszcza jeden: jesienny wieczór z dogasającym, czerwonym słońcem nad horyzontem, brzeg lasu blisko jeziora, mokre od niedawnego deszczu, prawie już bezlistne gałęzie brzoź. I przytłaczający, trudny do zniesienia smutek, samotność, łzy dławiące w gardle. Co znaczył ten obraz? Co się stało w taki wieczór? Nie wiedziała.

Miała dwa lata, kiedy umarła matka, i nie pamiętała jej zupełnie. Ojca natomiast przypominała sobie dobrze: duży, postawny mężczyzna z krótko przyciętymi jasnymi włosami, brał ją na ręce i huśtał w powietrzu. Zmarł w jedenaście lat po śmierci matki i tę śmierć już zapamiętała: tłum krewnych i sąsiadów z okolicznych dworów, czarna sukienka, kapelusz z długim welonem, który wiatr okręcał wokół szyi, brat Zbyszek w wojskowym mundurze (odslugiwał wówczas podchorążówkę w Grudziądzu), nieznośny upał czerwcowego dnia. Mnóstwo księży, wieńce, ponure *Salve Regina* na cmentarzu w odległym o trzy kilometry miasteczku, gdzie był rodzinny grobowiec.

Płakała rozpaczliwie i równie rozpaczliwie zniechęciła pogrzeby, czarny kolor, żałobne *Requiem*. To też był bunt – przeciw czemu? Śmierci w ogóle, czy tej formie żegnania zmarłych? Później przez jakiś czas modliła się o to, aby umrzeć „w morzu”. Nie precyzowała Bogu, jak to ma się stać – w czasie katastrofy okrętowej, wskutek dziurawej łódki czy jeszcze inaczej, chciała tylko za wszelką cenę uniknąć pochowania w ziemi. Wydawało jej się, że po śmierci człowiek jednak żyje, oddycha i wtłoczony w płaskie, szczelnie zamknięte pudło dopiero wtedy naprawdę umiera.

I chyba od tamtych wydarzeń pozostał w niej już na zawsze lęk ciasnej, zamkniętej przestrzeni – później dowiedziała się, że nazywa się to klaustrofobia – a także lęk przed zwartym naporem tłumu, który przytłacza coraz bliżej, coraz ciaśniej, nie pozwalając się wydostać.

Potem były lata nauki w klasztorze. Tutaj bunt przychodził powoli, ale był silniejszy, dojrzałszy, jakby rósł razem z nią. Rygor klasztorny zmuszał do wewnętrznej dyscypliny, jednak nie przeciw rygorowi buntowała się Krystyna. Miała przecież w sobie poczucie ładu i porządku, tak charakterystyczne dla poznaniaków.

Nie mogła jednak pogodzić się z wymaganą w klasztorze pokorą. Sacré Coeur było klasztorem polsko-francuskim, poziom nauki był tu dość wysoki, zwracano przy tym uwagę nie tylko na staranne odrabianie lekcji, ale i na higienę osobistą, formy towarzyskie, umiejętność zachowania się „w świecie”. Przyjęto jednak, w odróżnieniu od innych klasztorów, francuski zwrot: „ma mère” zamiast „siostra” i przez pierwsze dni forma ta nie chciała jej przejść przez gardło. Raziło też ciągle całowanie zakonnic po rękach; cóż, kiedy nie do pomyslenia było zwyczajne podanie im ręki.

W klasie maturalnej czy może rok wcześniej przerabiała na lekcji historii okres rewolucji francuskiej. Te strony w książce umiała prawie na pamięć, choć pojmowała ich treść bardzo swoiście. Solidaryzując się głęboko z rewolucjonistami, w miejsce królewskiej rodziny podstawiała sobie niektóre zakonnic i świeckie nauczycielki. Uraz do klasztoru pozostał jej na wiele lat.

Po maturze mieszkała przez rok w Poznaniu, w domu ciotki Teresy Wilczyńskiej, która jesień, zimę i wczesną wiosnę spędzała w mieście i dopiero na lato przenosiła się do Pawłowa. Wuj Waclaw, pochłonięty gospodarką w majątku i pracą w Poznańskim Ziemstwie Kredytowym, lawirował pomiędzy miastem a wsią, znajdując zresztą czas na przyjmowanie gości tu i tam.

Krystyna, pozostawiona sama sobie (dorosła!), najpierw czerpała pełną garścią z uroków życia poza klasztornym murem. Rogowiska po śmierci ojca były wydzierżawione, majątkiem zarządzał pan Marciński. Otrzymywali – Stasio, Zbyszek i ona – co miesiąc tenutę dzierżawną, która wystarczała aż nadto na kupno strojów, bo wujostwo, ludzie bardzo zamożni, wyśmieli próby płacenia im za wyżywienie i mieszkanie. Ciotka chętnie wprowadzała ją w świat, lubiła to.

Nie brakowało Krystynie tancerzy na balach korporacyjnych czy na słynnym dorocznym balu ziemianstwa w poznańskim „Bazarze”. Tańczyła dużo i z ochotą. Lubiała zwłaszcza kujawiaka, kiedy tancerzowi kładło się dla żartu na ramieniu srebrny pieniądz, a on prowadził swą partnerkę tak gładko i posuwicie, że moneta trzymała się przez cały taniec jak przyklejona. Lubiała też walca z figurami – najlepiej grały go orkiestry wojskowe – zmieniało się wtedy różnych partnerów i można było natrafić na kogoś nieznanego a ciekawego.

Przecież nie chciała tylko zabawy. Wyszukiwała więc sobie sama zajęcia, raczej niecodzienne, wzbudzające popłoch wśród krewnych. Miała, przeciętne zresztą, zdolności rysunkowe i bardzo lubiła teatr. Postanowiła więc kiedyś połączyć jedno z drugim tak, aby stać się czymś więcej niż zwykłym widzem.

Słynny dekorator Opery i Teatru Polskiego, Zygmunt Szpingier, zdziwiony i usposobiony sceptycznie, kazał jej na wielkim, rozciągniętym na podłodze płótnie narysować czarną farbą prostą linię. To miała być próba. Kazał „od ręki”. Krystyna sześć razy narysowała krzywo i zbierało jej się na płacz.

– Nic nie szkodzi – powiedział. – Nikt nie potrafi. Poza mną – dodał niedbale. I jednym wspaniałym pociągnięciem pędzla przejechał po płótnie tak idealnie prosto, jakby miał podłożoną linijkę.

Patrzyła na niego z podziwem, Więc pozwalał jej od czasu do czasu malować jakieś tam drobne fragmenty dekoracji. W Teatrze Polskim grywali w tych latach: fascynujący, choć

brzydki, Robert Boelke, młodziutka Barbara Ludwiżanka, Władysław Hańcza, Roman Zawistowski, świetny komik Kazimierz Szubert i inni. Krystyna była dumna, kiedy na scenie mogła podziwiać nie tylko ich talenty aktorskie, ale i własne dzieła: kawałek zielonego pnia, strzęp białego obłoku czy pół szarej kolumny.

Z malowania szybko przerzuciła się na pisanie. Tu szło trochę lepiej. Kilka opowiadań zamieścił *Kurier Poznański* dzięki protekcji czarnobrodego Czesława Kędzińskiego, który bywał u wujostwa. Dwa wiersze znalazły się w *Ilustracji Wielkopolskiej*, kiedy u naczelnego redaktora Antoniego Kawczyńskiego wstawił się za nią Jerzy Gerżabek, również znajomy znajomych.

Były to nic nie znaczące osiągnięcia literackie, ale mile łechtały ambicję. Czasem też przysparzały kłopotów, jak wówczas, kiedy pewien profesor-historyk, przeczytawszy jeden z owych dwóch wierszy, wziął go na serio i do siebie. Wiersz zaczynał się od słów: *Oczy twoje jak noc czarna...*, był klasycznym okazem grafomaństwa, pisanym w tak zwaną pustkę duchową, niemniej jednak żona profesora przez pewien czas patrzyła na Krystynę z niepokojem.

W tym samym czasie jeden ze znajomych, dobry tancerz i przystojny młody człowiek, zaproponował Krystynie wstąpienie do politycznej organizacji pod nazwą Myśl Mocarstwowa.

– Cóż to jest, ta Myśl? – spytała zaciekawiona.

– Zaraz ci wszystko wytłumaczę – odparł Władysław, gdyż tak było na imię propagatorowi mocarstwowości. – Otóż jest to organizacja studencka, narodowo-liberalna. Żądamy demokracji prezydenckiej. Należymy wprowadzić do zwolenników idei marszałka Piłsudskiego, ale nie zgadzamy się z pewnymi metodami wewnętrznej polityki obozu sanacji.

– Z czym się nie zgadzacie?

– No, choćby z systemem wyborczym, gospodarczym, z postępowaniem wobec mniejszości narodowych. Naszym centralnym organem jest pismo *Bunt Młodych*. Przyniosę jutro kilka numerów, a na razie pozostawiam ci książkę Adolfa Bocheńskiego: *Między Niemcami a Rosją*. Właśnie wyszła w druku. Tam jest cała nasza ideologia.

Zaopatrzona przez Władysława w książkę i sześć numerów „niezależnego organu młodej inteligencji”, jak sam siebie określał *Bunt Młodych*, Krystyna na krótki czas zagłębiła się w studiowanie mocarstwowości. Zaczęła od książki, bo zainteresowała ją wizytówka wydawnictwa *Polityka*, umieszczona na wewnętrznej stronie okładki:

...niezależny dwutygodnik polityczny, jedyne pismo, poświęcone polskiej myśli imperialistycznej. Zawiera obszernie działy poświęcone aktualnym tematom politycznym, gospodarczym, socjalnym i kulturalnym Dąży do skryształowania niezależnej, samodzielnej myśli politycznej młodego pokolenia.

– To tak, jakby dla mnie – szepnęła do siebie. Wolno przewracała kartki.

Wprawdzie nazywamy się „*Bunt Młodych*”, ale za lat 11 będziemy mogli twierdzić, że nasz program głoszony jest w Polsce już od lat stu...

– Czyli w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku – mruknęła. – Ha, zobaczymy.

Polska musi się liczyć z wcześniejszym lub późniejszym powrotem ekspansji niemieckiej na Pomorze i Śląsk... Właśnie antagonizm niemiecko-rosyjski, datujący się w naszych czasach od dojścia do władzy Adolfa Hitlera, spowodował tak korzystną dla Polski dzisiejszą koniunkturę...

Opuściła książkę na kolana i zadumała się. Do Niemieckiej Rzeszy miała wrodzoną od pokoleń, niejako zakorzenioną we krwi wrogość. Rosja sowiecka, jak nazywano wśród ziemiaństwa i mieszczaństwa Związek Radziecki, była dla niej wielką tajemnicą. W klasztorze, już w wyższych klasach, pani od historii z surową otwartością potępiła wszystko, co działo się za wschodnią granicą, oświetlając zresztą te sprawy tak, jak to było pożądané i nakazane.

W domu, jeszcze w Rogowiskach, śpiewało się czasami wieczorem, przy fortepianie, tęskną pieśń:

*Wiatr szumny wionął po pustym stepie
I śnieżną zamieć w obłoki wzbił,
Tam biały tuman rwie się i trzepie,
Jak huraganu rześisty pył...*

Śpiewano też inne stare pieśni powstańcze, a wszystkie mówiły o walce z caratem, o niewoli i kajdanach, które trzeba zerwać. Były to pieśni nieaktualne już przecież, bo car dawno nie żył i nie istniało stare imperium.

O nowym państwie robotników i chłopów, które tworzyło się na wschodzie, w środowisku Krystyny mówiono niechętnie, a nawet wrogo. Litowano się nad „białą emigracją”, modne były opowiadania o księżętach rosyjskich, zatrudnionych gdzieś w Paryżu jako szoferzy taksówek, kelnerzy, a w najlepszym wypadku – tancerze.

Wszystko to wywoływało w Krystynie sprzeczne uczucia. Rozczytana w tym okresie w książkach L. Czarskiej – *Nina, księżniczka Dżawacha* i wielu podobnych – żałowała przystojnych książąt, zwłaszcza gruzińskich, zmuszonych do nużącego zarobkowania. Słuchała chętnie z płyt gramofonowych pieśni dońskich Kozaków, a także Wertyńskiego, Leszczenki, Olgi Kamińskiej. Podobał jej się miękki, śpiewny język, choć słów nie rozumiała. Potem, w Poznaniu, obejrzała film *Świat się śmieje*. Miał śliczne melodie, z których „Serce”, śpiewane przez Utiesowa, stało się natychmiast szlagierem.

Myślała więc czasami, że prawda o tym wielkim, nieznanym kraju leży zupełnie gdzie indziej i pociągała ją jego tajemnica.

Przypomniało jej się to teraz, kiedy siedziała wciśnięta w róg kanapy w salonie u wujostwa Wilczyńskich. Tak ją zastał Władysław, który znów przyszedł z wizytą, bo mu się dziewczyna podobała.

– Kto założył Myśl Mocarstwową? – spytała z roztargnieniem. Wiedziała, że musi zdać egzamin z przeczytanych tygodników i książek, chciała to odwlec jak najdłużej.

– Nazywała się najpierw „Civitas Academica” i powstała w Krakowie – odparł. – Założycielami byli: Rowmund Piłsudski, bracia Pruszyńscy, Konstanty Łubieński, ideologami: Adolf Bocheński, Jerzy Giedroyc i inni. Przeczytałaś? Bo z twego pytania widzę, że...

– Przeczytałam – zbuntowała się nagle. – Nie wstąpię. Zapiszę się raczej do Obozu Wielkiej Polski. Będę nosiła znaczek, taki mieczyk Chrobrego.

– Szczerbiec – poprawił chłodno. – Poza tym chciałbym cię uprzedzić, że OWP już nie istnieje. Został rozwiązany w marcu trzydziestego trzeciego.

– Taaak? – powiedziała w zamyśleniu.

Jeszcze kiedy była w szkole i przyjeżdżała na wakacje, poznała kilku młodych ludzi, którzy należeli do „Obwiepoła”, jak mówili jego przeciwnicy. Nauczyła się nawet hymnu tej organizacji, zaczynającego się od słów:

*Złoty słońca blask dokoła,
Orzeł biały wzlata wzwyż...*

Śpiewało się go na melodię *Oto dziś dzień krwi i chwały*. Miała im za złe, że do swego hymnu użyli starej, znanej melodii Warszawianki, zamiast skomponować coś nowego.

Z tym wszystkim jednak niemal cały Poznań był wówczas zwolennikiem Stronnictwa Narodowego. W domu Wilczyńskich hołdowało się polityce Romana Dmowskiego, a

zmarłego marszałka uważano ciągle jeszcze za przyczynę wszelkich kłopotów i kryzysów wewnętrznych.

– Dlaczego rozwiązano OWP? – spytała Władysława, choć z góry było wiadomo, że jego odpowiedź nie będzie obiektywna.

– Bo rząd nie mógł tolerować istnienia obozu polskich faszystów – odparł lekceważąco. – Więc nie zapiszesz się do Myśli Mocarstwowej?

– Nie. Będiesz na balu „Primislavii”? – zmieniła niewdzięczny temat mocarstwowości. Odpowiedział, że tak, chociaż ciągle czuł się urażony jej rezygnacją. W gruncie rzeczy wcale nie chciał w Krystynie znaleźć polityka, nie lubił mądrych kobiet. Ale w lokalu Myśli Mocarstwowej był kimś ważnym, z kim się liczone i kogo słuchano, a takim nie znała go jeszcze Krystyna.

– Na co ci organizacje polityczne? – pytano ją potem w domu. – Czego w nich szukasz? Jesteś na to za młoda, nie znasz życia.

Buntowała się znowu, pełno w niej było sprzeczności, pełno niewyżytej ambicji i zapалу, z którym nie potrafiła się uporać. W środku roku akademickiego, przy pomocy któregoś z wpływowych krewnych, zapisała się na polonistykę na Uniwersytecie Poznańskim. Wytrwała trzy miesiące, nie mogąc dać sobie rady ze staro-cerkiewno-słowiańskim i z greką. W szkole uczyła się łaciny, lubiła ją i miała dobre stopnie. Lubiła zwłaszcza Salustiusza, dawał się czytać jakoś normalnie, zdania były jasne i krótsze niż u innych. Greka przeraziła ją obcym alfabetem, przy czym to znów nie było to, czego szukała.

Obracała się stale w tym samym kręgu ludzi o jednakowej mentalności, zamiłowaniach, tradycjach. Byli wśród nich przede wszystkim ziemianie, było twarde poznańskie mieszczaństwo, może jeszcze bardziej skostniałe w trybie życia, pracowite, mało romantyczne, uczciwe do szpiku kości. Byli wreszcie od czasu do czasu znani artyści, naukowcy, cudzoziemcy. Ci wnosili trochę świeżego oddechu, mówili i zachowywali się inaczej, ale szybko znikali gdzieś w świecie, zanim można było się z nimi bliżej zapoznać. Na co dzień pozostawali ci najliczniejsi, z którymi chodziło się do teatru i na koncerty, grało w brydża, tańczyło na balach i prywatnych zabawach, rozmawiało o ostatnich książkach, o wspaniałej grze Roberta Boelke w roli Hamleta czy o wierszach Wojciecha Bąka.

*

Był sierpień. Na polach Pawłowa stawiano stogi, przy jednym huczała młocarnia, płosząc ukryte niedaleko stadko kuropatw. Dzień był ciepły, pełen wiejskiego spokoju.

Krystyna puściła uzdę na kark kasztana, poklepała go po szyi i przytuliła na chwilę twarz do gęstej grzywy. Siedziała w siodle pewnie, po męsku, trzymając się, jak ją uczono, tylko kolanami, palce do konia, pięty od konia, uzda w prawej ręce, lewa wolna.

– Żeby dobrze jeździć, trzeba przed tym co najmniej trzy razy spaść – mawiał Sylwester, wieloletni stangret w Rogowiskach. Uczył konnej jazdy najpierw Stasia, potem Zbyszka, wreszcie Krystynę.

Kiedy spadła po raz drugi, myślała, że sama nie wstanie. Kara klacz, niedawno kupiona, poniosła w połowie drogi od jeziora, spłoszona nieznanym jej widokiem fordsona [*Ciągnik marki „Fordson”*], który ciągnął pług. Krystyna uttrzymała się w siodle aż do podwórza, spadła dopiero przy stawie, ale podwórze było wybrukowane, więc plecami na ten bruk.

Trzeba było trzymać fason, bo fornale przyglądali się uważnie, jak z trudem wstaje, prostując obolały grzbiet. Sylwester wyszedł przed stajnię chmurny, pełen pretensji. Doszła do niego z poczuciem winy i nisko opuszczoną głową. Wiedziała, że nie wolno mu było siodłać, a jej dosiadać karej klaczy, młodej i nie ujeżdżonej.

Plecy bolały paskudnie, w nocy miała wymioty, rano wstała z ciężką głową i zapuchniętymi oczami, powiedziała, że to od malin, przejadła się. Sylwester na jej widok

pokiwał głową i położył siodło na kościstego siwka. Sadzało się na niego zwykle gości z miasta, był uparty jak osioł, żadna siła nie mogła go zmusić do żwawszych ruchów. Przez trzy dni włączyła się na siwku w pobliżu traktora, ale znudzony koń strzygł tylko uszami. Krystynie ze złości łzy leciały po policzkach. Czwartego dnia Sylwester westchnął i osiodłał karą klacz.

Czekała potem ze strachem na ten trzeci, niezbędny upadek, a kiedy nie mogła się doczekać, oszukała los zlatując z konia umyślnie, na stertę siana.

Teraz przypomniały jej się tamte chwile. Wracła z odwiedzin w Rogowiskach, Sylwestra nie było już w stajni, pan Marciński nie mógł się z nim dogadać czy też odwrotnie, dość że stangret odszedł do innego majątku.

Spojrzała na zegarek i popędziła kasztana ostrym galopem. Był czas na obiad, wujostwo nie lubili spóźnień. Odstawiła konia do cugowej stajni i przez furtkę od podwórza pobiegła do ogrodu. W Pawłowie przed dworem rozciągał się duży trawnik, rosło na nim parę kasztanów i oddzielnie – jak egzotyczne zwierzę – trzyramienny baobab o dziwnie skrzyconych, popielatych gałęziach. Dokoła trawnika biegła piaszczysta droga, rozszerzająca się przed schodami.

Dom był typowy dla poznańskich dworów; cztery grube kolumny z piaskowca wspierały trójkątną fasadę z herbem, po bokach biegło prawe i lewe skrzydło budynku. Prawe kończyło się szerokim tarasem, okolonym balustradą. Dalej był ogród, przechodzący później w sad owocowy i warzywny.

Pod kolumnami wchodziło się przez oszklone drzwi frontowe do hallu, skąd można było przejść do jadalni, salonu, gabinetu wuja i dalszych pokoi. Sypialnie domowników i gościnne mieściły się na piętrze. Podobnie jak i sąsiednie dwory, dom w Pawłowie miał kanalizację, centralne ogrzewanie na torf, kopany z łąk nad jeziorem, i światło elektryczne „z motoru” w oddzielnym budynku.

W jadalni prócz domowników zebrali się jeszcze kilka osób z Poznania i jakiś obcy pan, jak się okazało adwokat warszawski. Nastrój przy stole był nie najlepszy. Nawet pani Teresa, zwykle dowcipna i wesoła, teraz siedziała osowiała, nie starając się zabawić gości. Krystyna nie zabierała głosu, przysłuchując się rozmowie, toczonej już widać od pewnego czasu.

– Naprawdę, droga pani Tereso, proszę się tak nie przejmować – mówił mecenas, zwracając ku niej okrągłą twarz, ginącą niemal pod ogromnymi okularami. – Berlin został przykro zaskoczony przez układ brytyjsko-japoński w sprawie Tiensinu. A rząd Stanów Zjednoczonych, jak czytałem w prasie, zerwał traktat handlowy z Japonią, co...

– Wypowiedział, nie zerwał – wtrącił wuj, bawiąc się kościanym kółkiem od serwety. – To różnica.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI